



8-12.06.2017 Holandia

Wyjazd

Dziesięć lat nam zajęło, aby spełnić marzenie ludzkości i osiąść zdolność jednoczesnego przebywania w dwóch miejscach naraz. To nam się udało w tym roku, w związku z naszym wyjazdem do Holandii. Bo jak inaczej określić fakt, że chór Agricola jednocześnie i wyjechał i pozostał. Z różnych powodów musieli zrezygnować z wyjazdu (idąc od basów) Marek, Jul, Kaziu, Darek, Leśnik, Adam, Wiesiu, Jurek, Jasiu-Kolejarz, Boguś, Leszek... To ekipa, która spokojnie może podjąć walkę, na każdym festiwalu czy konkursie, lub też pięknie się zaprezentować na wielu innych koncertach.

Priorytetem jest jednak podróż do Holandii, więc nasza dyrygentka Asia, nawet jeśli mogła mieć jakieś wątpliwości, który chór wybrać, krajowy czy międzynarodowy, zdecydowała się na karierę z eksportową wersją chóru.

Wyjazd, nasz Kanclerz Marek zapowiedział na godzinę 17-tą we czwartek. I tu okazał się niezwykle przebiegłym, bo już o siedemnastej oczekujemy na autobus w komplecie, przed naszym dworkiem. Teraz dowiadujemy się od naszego wodza, że wyjazd to będzie właściwie o 17.30, a dzięki jego fortelowi, nie będzie nerwowego oczekiwania na tych, co by się spóźniali, o co w zatłoczonym ponad miarę, o tej porze Krakowie, bardzo łatwo. Decyzja jak najbardziej słuszna a także sprytna, godna samego pana Zagłoby, z sienkiewiczowskiej Trylogii.

Wraz z nami oczekuje nasz Wiesiu, który nie jedzie, ale jak zwykle troskliwie roztacza opiekę nad nami, a tym którzy w swych zbiorach nut nie mają "Si Iniquitates", które w ostatniej chwili ma powrócić do naszego bieżącego repertuaru, przyniósł skserowane przez siebie egzemplarze. Autobus przyjeżdża punktualnie, a my za chwilę już pakujemy bagaże i garnitury do jego ogromnych bagażników. Świetny pomysł, aby garnitury podróżowały w jednym, przeznaczonym dla nich miejscu.

Autobus, jak to teraz bywa, jest tak bardzo nowoczesny, że mylimy sobie gdzie jest jego przód, a gdzie tył i naszej Asi musimy szukać gdzieś na tylnych siedzeniach.

Jednak po chwilowym zamieszaniu, wszystko wraca do normy i nasza pani dyrygent zajmuje miejsce tam gdzie jej miejsce, czyli na samym przodzie autobusu. Oczywiście za kierowcą. Wyruszamy w krakowskie korki, w kierunku autostrady.

I jak to zwykle bywa, przy takiej okazji, za sobą zaczynamy zostawiać nasze codzienne stresy i problemy związane z pracą zawodową, bądź innymi obowiązkami. Nie wszystkie jednak trudne i kłopotliwe dla nas sprawy możemy zostawić w Krakowie, bo przecież bez nut Paula van Gulicka, nie moglibyśmy zaśpiewać jego utworów w Holandii.

Pogoda nam sprzyja. Świeci słońce. Jest radośnie. Ale nie na tyle, żeby nie mogło jeszcze bardziej radośnie być. Dlatego też zaczynamy, autobusową biesiadę luksusowo-wiśniowo-śliwkowo-pigwowo-orzechowo-zakarpacką. Artur, w trosce o swe samopoczucie i kolegów, dodatkowo używa wody Zuber, jak to napisane na butelce, a częstując nią kolegów, nie słyszy od nich żadnych negatywnych uwag.

To wszystko po to, by się rozluźnić i nabrać dobrego humoru, by smutki, jakiegokolwiek w nas są,

zostawić jeszcze przed granicą.

Udaje się nam to znakomicie. Żartom i śmiechom nie ma końca tak, że granicę, jak to jeszcze na razie możliwe, przekraczamy praktycznie niezauważalnie, a dzieje się to tuż przed północą.

Jest już ciemno i Ci co potrafią to śpią, ci co nie, to pilnują drogi. Na drodze mamy, "nomen omen", ciągły dowód toczącego się nocnego życia, w postaci niezliczonej ilości ciężarówek podążających nitkami autostrad w obu kierunkach.

Jedziemy w czerwcową noc, a więc jedną z nocy najkrótszych. Mimo, że uciekamy od wschodu słońca, to i tak dzień dopada nas w miarę szybko i wkrótce robi się jasno. Zagłębienie Ruhry już możemy oglądać w pełnym dziennym świetle.

Wjeżdżamy do Holandii i około dziesiątej, dojeżdżamy do miejscowości Udenhout, gdzie mamy wyznaczone spotkanie z chórem Zuid-Nederlands Kamerkoor, a także z naszym Jasiem JVC, który wraz ze sobą, drogą lotniczą dostarczył na miejsce Andrzeja golfistę i Michała.

Początkowo spotkanie miało się odbyć na terenie plebanii kościoła, ale jak zostało to zmienione, tuż przed podróżą, miejscem spotkania będzie restauracja w Udenhout. Kierowcy wiedzą jak dojechać i przez wąskie i mocno zaprogowane uliczki miasteczka docieramy na miejsce.

Dzień pierwszy – piątek 9.06.2017

W Udenhout, wita nas Jasiu i deszcz. Z Jasia się cieszymy, z deszczu mniej.

Udenhout to klimatyczne miasteczko przedmieść Tilburga, leżące na północny-wschód od niego. Już na pierwszy rzut oka, możemy tu się zachwycać i zakochać tym, co jest tak bardzo holenderskie.

I nie chodzi tym razem o wspomnianego już Jasia, ale o domki, ogródki, chodniki, ulice, skomponowane przez lata w jeden estetyczny układ urbanistyczny.

Kiedy już wypakowaliśmy nasze bagaże, z wyjątkiem garniturów, dla których garderobą pozostaje autobusowy bagażnik, okazuje się że torba Michała, która miała z nami przyjechać, wciąż pewnie pilnuje pieca w naszej chóralnej salce, w Krakowie. To torba niższej generacji, pozbawiona sztucznej inteligencji, więc zapewne nie wiedziała, że ma się z nami zapakować do autobusu. Ale dzięki temu będziemy świadkami albo niekonwencjonalnego stroju Michała na koncercie, albo też będziemy podziwiać sprawność firm transportowych dostarczających w tempie ekspresowym towary z Polski do Holandii. Wyprzedzając fakty, spełni się ta druga wersja.

Po emocjach związanych z wypakowaniem bagaży, idziemy do mieszczącej się na tyłach domów restauracji. Restauracja, to parterowy pawilon w drewnie, wśród gęstych krzewów i drzew, gdzie wolna przestrzeń pomiędzy nimi, wypełniona jest, jak to w Holandii, do każdego centymetra, kamienną kostką i równo przystrzyżonymi trawniczkami.

Wchodzimy do restauracji. W środku, główne pomieszczenie w ciemnym drewnie z wielką ilością różnego rodzaju drobnych przedmiotów. Na wprost lada z barem, a tam piwa, wina, napoje.

W tym pomieszczeniu oczekują na nas członkowie ZNK. Witamy się. Na prawo, przy barze drzwi prowadzące do oranżerii. Na lewo drzwi prowadzące do kuchni, wcześniej do pomieszczenia w którym na środku stoi stół, szwedzki a właściwie brabancki, bo na nim różne rodzaje wędlin, serów, pieczyw, słodyczy, kawa, herbata, a obok na półce mleko i sok pomarańczowy. Wszystko w ilościach hurtowych. To holenderska wersja naszego przysłowia "zastaw się, a postaw się" .

Na razie przechodzimy przez to pomieszczenie, bo za nim znajduje się pomieszczenie gospodarcze, gdzie składamy nasze bagaże. Wracamy do głównej sali i siadamy przy przygotowanych już stolikach. Jako pierwsze danie konsumujemy brabanckie paszteciki.

Potem już korzystamy z zastawionego stołu, który znajduje się w salce obok. Jednocześnie następują powitania, a ci którzy są organizatorami ze strony holenderskiej i naszej, ustalają jak będziemy się zaraz rozparcelowywać po kwaterach, bo będziemy mieszkać w domach chórzystów ZNK. W łatwiejszym przydzielaniu gospodarzy i gości pomagają samoprzylepne wizytówki,

wręcane każdemu przez gospodarzy, a które na siebie przyklejamy. Tak rzeczywiście jest łatwiej, choć chwilę trwa zamieszenie i wydaje się, że wcześniejsze przydziały zostają zmienione, ale po chwili wszystko wraca do normy. Każda dwójka, bo po dwie osoby będziemy mieszkać u gospodarzy, ma już swój przydział. Większość będzie mieszkać w Tilburgu, ale są i tacy którzy w odległej o kilkadziesiąt kilometrów Bredzie. Najbliżej z restauracji do swojej kwatery, ma nasza chóralna wersja The Everly Brothers, czyli nasi mili i utalentowani głosowo i nie tylko, bracia Andrzej i Paweł. Ich gospodarzem jest właściciel hotelu, sąsiadującego z restauracją w której tu, w Odenhout, właśnie jesteśmy.

Sympatyczna sytuacja wykreowała się poprzez przydział Zibona i Krzysia. Wraz z gospodarzami u których będą mieszkać, wita naszych chórzystów kilkuletni synek gospodarzy, choć jeszcze dziś wyczuwa się duży dystans z jego strony, do nowych lokatorów.

Mając na względzie nasze zmęczenie podróżą, pomiędzy godziną 12-tą a 16-tą, mamy zaplanowany odpoczynek na kwaterach u naszych gospodarzy. Zbliża się właśnie godzina 12-ta i każda dwójka wychodzi ze swymi opiekunami z restauracji. Deszcz już nie pada. Jest ciepło. Idziemy do samochodów, zaparkowanych przez gospodarzy w różnych miejscach, bliżej lub dalej od restauracji. W drodze na kwatery, ci co chcą, pokazują nam Tilburg, często nadkładając drogi. Te cztery godziny wypoczynku, mogłyby się złożyć na kilkanaście odrębnych relacji, bo różni gospodarze, różne, domy, różne emocje. Wspólnym mianownikiem z pewnością jest możliwość skorzystania z łazienki i wypoczynku. Czasami krótki sen.

To także okazja do wręczenia podarków, które przygotowaliśmy od siebie dla gospodarzy. Prezenty dajemy w ozdobnych, papierowych torbach przekazanych nam przez naszego kanclerza Marka wraz z naszymi jubileuszowymi albumami w języku angielskim. My dokładamy do tego różnego rodzaju nalewki, miody pitne, alkohole, pamiątki z Krakowa i wszystko to co wydało nam się odpowiednie na taką okazję.

Czas szybko mija i już jedziemy z powrotem, transportowani przez gospodarzy, na spotkanie w restauracji, którą już znamy.

Tam możemy się przywitać, z przybyłym już do nas Paulem van Gulickiem.

Teraz gospodarze przewidzieli nam atrakcję w postaci wizyty w Bractwie w Udenhout. Nie wiemy dokładnie o co chodzi, ale idziemy przez uliczki Udenhout, bo to tylko około 1,5 km, prowadzeni do celu, przez wyznaczonych do przewodnictwa nad nami, członków chóru ZNK.

Po drodze mamy możliwość oglądania pięknych, czystych domków jednorodzinnych, ogródków, z przepięknymi kwiatami, trawników i jeśli już, to symbolicznych płotków, zwykle roślinnych. Dochodzimy do siedziby Bractwa. Spoza domków, obok, niewielkiej łąki i drzew, wyłania się pawilon, w którym mieści się klub Bractwa. Jesteśmy zapraszani do środka. Stoją tam stoły. Siadamy i za chwilę jesteśmy częstowani kawą, herbatą i ciastem.

Po chwili członek Bractwa, w żółtej firmowej koszulce, przedstawia nam informację o swej organizacji, a gdy kończy pomiędzy nas rozdawane są karteczki w trzech kolorach. Tym samym jesteśmy podzieleni na trzy grupy, które będą mogły skorzystać z dobrodziejstw Bractwa.

Na zewnątrz będziemy strzelać z karabinka śrutowego, będziemy strzelać z kuszy i będziemy grać w kulki...

W klubie spędzamy prawie dwie godziny. Ponieważ nasze wyczyny były punktowane, zwycięzca okazuje się, co nie budzi wątpliwości ze względu na jego pasję myśliwską, Tomasz. Tym samym potwierdził, swoje celne oko i pewną ręką, co jest miłą wiadomością dla niego samego, a niemiłą dla zwierzątek z obwodu łowieckiego Tomka.

Pełni wrażeń, wracamy do naszej restauracji, ponownie podziwiając Udenhout i nawet trochę zazdroszcząc siedzącym w kawiarnianych ogródkach, słodkiego lenistwa.

W restauracji czeka na nas późny obiad. Rewelacyjna zupa pomidorowa z mięsnymi kuleczkami. Chętnie przez nas jedzona i chętnie dolewana przez organizatorów. Ostra w smaku, gorąca. Po prostu taka, jaką zupa powinna być. Drugie, to ryż z drobiem i jarzynami. Równie smaczny.

Jest też deser w postaci białego kremu z truskawkami.

Zbliża się godzina naszej próby, już z Paulem van Gulickiem.

Próba odbywa się w odległym o około trzysta metrów od nas katolickim kościele św. Lambertusa. Kościół wewnątrz obszerny, pięknie odnowiony. Siadamy z prawej strony ołtarza, wraz z chórem ZNK. Razem będziemy ćwiczyć Requiem Paula van Gulicka i Cantate Domino Anny Rocławskiej – Musiańczyk.

Tym pierwszym utworem dyryguje Paul. Tym drugim Joasia.

Dla każdego z tych utworów, dyrygenci życzą sobie innego ustawienia chórów. Stoimy wg. ich życzeń.

Partie organowe w "Requiem" podgrywa, zaproszona przez Paula, Jelena Bazova.

Po próbie tych dwóch głównych utworów, Asia zarządza nam jeszcze próbę przed głównym ołtarzem. Chcemy przede wszystkim prześpiewać Missa Brevis Paula. Startujemy. Łatwo nie jest, bo też na pewno zmęczenie podróżą całym dniem i próbą już nam daje się we znaki. Dodatkowym stresem, jest obecność Paula van Gulicka i chórzystów ZNK. Kiedy wydaje się, że już pacjent, czyli my, nie rokuje i ledwo dyszy, kroplówkę z antybiotykiem podaje nam sam Paul. Dynamicznie zarządza śpiewanie Marszu Jubileuszowego, który lubimy śpiewać i który całkiem dobrze nam brzmi.

Marsz podoba się członkom chóru ZNK, Paulowi a my czujemy się uratowani.

Jest późno, już dobrze po 21-szej. Wracamy do restauracji, na planowane towarzyskie spotkanie z holenderskimi chórzystami.

Tam przygotowane przy barze są już rozmaite i znakomite piwa. Degustujemy je, zagryzając orzeszkami chętnie podsypywanymi nam z dużego wiaderka do miseczek na stołach.

Następuje teraz także oficjalna część przekazania w naszym imieniu prezentu dla chóru i dla Paula. Marek-kanclerz i Jurek-pułkownik, z krakuskami na głowach, wręczają pamiątki z Krakowa na ręce prezesa chóru i Paula. Paul otrzymuje figurkę Lajkonika z dzwonkiem, a ten fakt jest okazją do przypomnienia legendy.

Piw jest wciąż dużo, więc rozszerzamy swą wiedzę na ich temat w sposób jak najbardziej empiryczny, wymieniając się pomiędzy sobą uwagami. Trochę również śpiewamy. Cały czas Heniu, Paweł, Miron i Michał robią zdjęcia dokumentując nasz pobyt. Około jedenastej wieczór, dostajemy dyskretną informację, że to godzina, do której restauracja może być czynna, dlatego też organizujemy się z naszymi gospodarzami, by rozpocząć powroty do domów.

Po tak męczącym dniu, wracać się nam chce bardzo.

Dzień drugi – sobota 10.06.2017

Dzisiaj czeka nas kolejny pracowity i zapewne pełen wrażeń dzień.

Każdy z nas, w swoim domu w którym nocował, zjada rano śniadanie z gospodarzami. Mamy czas by śniadanie zjeść spokojnie, poznać nawyki żywieniowe gospodarzy, a potem jeszcze mieć czas na chwilę relaksu w przydomowych ogódkach. Jest też czas na rozmowę z gospodarzami.

Jest czas, bo zbiórkę mamy pod kościołem Piotra i Pawła w Tilburgu, gdzie wieczorem damy koncert, a teraz rano, czeka nasz autobus, by zabrać nas na zorganizowaną przez naszych holenderskich gospodarzy wycieczkę do Zeelandii.

Zbiórka jest o godzinie 10-tej.

Wyposażeni w przygotowany przez naszych gospodarzy, suchy prowiant, przywiezieni przez nich, zjawiamy się przy autobusie. Najbliżej do miejsca zbiórki ma nasz Zibon i Krzyś, bo około trzystu metrów, więc odprowadzani są pieszo przez ich gospodynię wraz z poznanym już przy powitaniu małym syneczkiem, który jak widać, coraz bardziej jest ufny do tych dwóch mieszkających u niego basów. Zibi skarży się na nieprzespaną noc. Już drugą nieprzespaną, biorąc pod uwagę, że nie zmrużył oka w podróży. Ale jest dzielny i podejmuje wyzwanie do odbycia wycieczki.

Wyjeżdżamy w kierunku Zeelandii, w kierunku Północnego Morza.

Poruszamy się gładkimi i równymi holenderskimi autostradami. W drodze kierowcy odczytują informację, że musimy zahaczyć o Belgię, bo z powodu remontu pasa autostrady, tamtędy właśnie jest prowadzony objazd. Przejeżdżamy w pobliżu Antwerpii. Nasza podróż wydłuża się przez to i trwa około dwóch godzin. Nie wszyscy z nas zostali zaopatrzeni w suchy prowiant w jednakowy sposób. Dostrzega to brat Andrzej, z otwartym sercem obdziela swoim bogatym prowiantem, przygotowanym przez swego gospodarza, naszego Stasia, który nie miał szczęścia być tak obdarowanym. Dzięki temu Stasiu ma co jeść i pić.

Już dojeżdżamy do Zeelandii, bo pojawia się coraz więcej inżynierskich budowli, w tym zwodzonych mostów. Zajeżdżamy na parking przy Delta Park w Zeelandii.

Wchodzimy do głównego budynku Parku. Korzystamy z możliwości umycia rąk, a następnie jesteśmy zaproszeni do kawiarni na kawę, herbatę lub wodę. Po krótkim pobycie w kawiarni idziemy w stronę hali, gdzie za pomocą efektów dźwiękowych, filmowych i świetlnych pokazana jest walka, w latach pięćdziesiątych, z żywiołem wody. Oczekujemy przed salą na wejście, a elektroniczny zegar na ścianie wskazuje nam ilość czasu, jaka została nam jeszcze do wejścia. Kiedy wskazuje "zero" wchodzimy do środka. Widowisko, ma nam uzmysłowić, dlaczego Holendrzy zdecydowali się na podjęcie wysiłku, wydawać by się mogło nie do wykonania.

Po pokazie idziemy z przewodnikiem, do sali kinowej, gdzie pokazana jest cała historia powstawania wielkich betonowych tam, na wybrzeżu Morza Północnego. Poznajemy to od strony historycznej i inżynierskiej. To co mówi przewodnik, tłumaczone jest przez Jasia JVC i nasz nowy nabytek chóralny, również zrodzony na holenderskiej ziemi, czyli Arnolda. Arnold wzmocnił basy, a dodatkowo deklaruje silne związanie z Polską. Jak mówi myśli i śni po polsku.

Przewodnik mówi dużo, w sali panuje półmrok, fotele są niezwykle wygodne. To wszystko wystawia nas na front walki z drzemaniem. Co chwilę komuś leci głowa w dół. Ale walczymy dzielnie by nie zasnąć. Nie zasnęliśmy również dlatego, że opowieść snuta przez przewodnika jak i podawane przez niego wiadomości są bardzo interesujące. Podziw wzbudza pracowitość holenderskiego narodu. Pracowitość dalece ponadprzeciętna.

Zetknęliśmy się z pracowitością Holendrów. Ale żeby ponadprzeciętną...

Po seansie, w towarzystwie przewodnika, wychodzimy na zewnątrz i idziemy w kierunku jednej z tam. To około kilkuset metrów. Jest ciepło. Czujemy wiatr od morza, ale nie jest on na tyle silny i zimny, by uzasadnionym było wkładać kurtki, które Jasiu polecał nam zabrać. Nie narzekamy, bo "lepiej dźwigać, niż ścigać".

Dochodzimy do tamy. Ogromna ilość betonu, skomplikowana konstrukcja i siła morskiej wody przewalającej się przez nią, robią na nas wrażenie. Linia brzegowa, także urozmaicona, pełna kamieni, roślin i ptactwa. Kamieni jak się okazuje, sprowadzanych z Niemiec i Norwegii, bo Holandia, to kraj kamieni pozbawiony. To zawsze jakiś pomysł, na zapełnianie walizki Jasia, gdy będzie wracał w swe rodzinne strony.

Wchodzimy do środka tamy, gdzie w pomieszczeniach eksponowane są makiety i modele inżynierskich budowli i sprzętu, które uczestniczyły w wrywaniu terenów morzu. To wszystko robi wrażenie. Decyzja, projekt, realizacja, zawziętość, pracowitość i detreminacja.

Nad nami słychać jadące samochody, bo po tamie prowadzi normalna droga. Po metalowych schodkach wychodzimy z wnętrza tamy na jej górę, obok wielkich hydraulicznych siłowników sterujących zamykaniem zapory.

Stoimy na ażurowym podeście, owiewani teraz silnym wiatrem z Morza Północnego.

Jest pięknie.

Po nasyceniu się wrażeniami, wracamy do autobusu, bo chcemy trzymać się harmonogramu naszej wycieczki, a tu jesteśmy zobligowani także czasem pracy kierowców.

Ostatni rzut oka na wzburzone morze. I gdzieś obok, także nasz Zibon, bohater dzisiejszej wycieczki, bo jeszcze bez snu na holenderskiej ziemi, a tak wytrwały, mimo zmęczenia, w

zwiedzaniu. Tak konsekwentny i uparty, by nic mu nie umknęło. Jest jak Spencer Tracy, w filmowej adaptacji Hemingwayowskiej powieści "Stary człowiek i morze". I taki sam szacunek od nas pozyskuje.

Wsiadamy do autobusów. Wiemy, że wszyscy nasi fotografowie, Asia, Heniu, Miron, Paweł, Michał robili zdjęcia. Aż miło będzie to kiedyś oglądać i wspominać.

Droga powrotna do Tilburga, trwa krócej, bo ta nitka autostrady nie jest remontowna i nie musimy już uwzględniać objazdów.

Powrót trwa około półtorej godziny i około 17-tej jesteśmy przy kościele Piotra i Pawła w Tilburgu. Tu kierowcy czekają na nas, bo garnitury zostawiamy w autobusie, a sami idziemy do kościoła na krótką próbę. Próba musi skończyć się przed 18-tą, bo jak mówi Paul o tej godzinie będzie tam msza. Próbujemy najpierw sami z Asią a potem razem z Paulem i chórem ZNK. Tu mamy wykorzystać ustawienia zaproponowane przez Paula i Asię na wczorajszej próbie.

Kościół jest kościołem nowoczesnym, zbudowanym na planie wielokąta. Nad murami dookoła okna. Dziś ciepły dzień i zachodzące słońce wpada do środka, powodując duchotę, a nam przysprzając potu na czołach i pod koszulami, nie tylko związanego ze śpiewanymi utworami. Mimo, że jeszcze nie jesteśmy ubrani w galowe stroje.

Na stoliku przed wyjściem z Kościoła, nasz kanclerz Marek rozkłada materiały informacyjne o naszym chórze. Album jubileuszowy, śpiewniki, informatory o Uniwersytecie Rolniczym.

Próba się kończy. Wychodzimy na zewnątrz, bo na placu przed kościołem przygotowana jest dla obu chórów, kulinarna niespodzianka.

Zaparkował tu foodtruck. Tak coraz częściej określa się przewoźny bufet, czy bar. Ustawiamy się w kolejce, bo możemy zjeść belgijskie frytki, hamburgery, mexicana i kilka innych potraw. Frytki są niezłe. Bierzymy i stojąc na placu lub przysiadając, jemy. Wewnątrz kościoła, na zapleczu świetlicowo-barowym można dojeść jeszcze sałatkami warzywnymi i owocowymi.

Jeden z naszych chórzystów, nie bardzo ma ochotę w tym momencie skorzystać z jedzenia. Pali papierosa za papierosem. To nasz Arnold, oczejkujący wizyty swych trzech wnuków, wraz z jego synem. Kiedy już się zjawiają, Arnold, cały szczęśliwy, ustawia się z nimi do foodtrucka. Jeszcze jeden gość Arnolda, ma być dzisiaj na koncercie. Jego brat bliźniak. Sami jesteśmy tego ciekawi. Mimo, że Arnolda czeka tyle emocji rodzinnych i jeszcze dodatkowo koncert, zachowuje stoicki spokój. Trudno nie zgodzić się z naszym Zibim, który znalazł w Arnoldzie podobieństwo, w zakresie wyglądu i spokoju, do szwedzkiego aktora, ulubieńca Ingmara Bergmana, Maxa von Sydowa. Kiedy już jesteśmy najedzeni, tym co zaoferowali nam gospodarze, przychodzi trudny czas wbicia się z pełnymi żołądkami w nasze koncertowe garnitury.

Musimy to, zrobić, bo zbliża się godzina 20.30, czyli godzina koncertu.

Ubrani zajmujemy miejsca na krzesłach po prawej stronie ołtarza, bo najpierw jeden (a właściwie dwa) utwory odśpiewa chór ZNK, pod dyrekcją Paula van Gulicka.

Koncert zaczyna się od przemowy pani prezes chóru ZNK, a potem Paula van Gulicka.

Wszystko tłumaczone jest przez naszego Jasia JVC.

W końcu dołączamy do chóru ZNK i zaczynamy nasz koncert wraz z nimi w dwóch pierwszych utworach:

"Requiem Canario" – muz. Paul van Gulick,

"Cantate Domino" - muz. Anna Ročławska – Musiałczyk

Solistką w "Requiem..." była znana już nam z koncertu "Budowanie Mostów" belgijska sopranistka Evelyne Bohen, a partie organowe grała Jelena Bazova.

Po tych utworach już zostajemy sami przed ołtarzem. Ustawiamy się do śpiewu. Niewielki twórczy konflikt z tyłu basów, bo jeden z kolegów chce dobrze wyglądać, a drugi chce dobrze śpiewać.

Ale wszystko za chwilę się wyjaśnia i wszystko jest już dobrze.

Śpiewamy po kolei wszystkie utwory, które na dzisiaj sobie zaplanowaliśmy, a zapowiada je nasz Jasiu:

"Bogurodzica"

"Missa Brevis" (Kyrie, Sanctus, Benedictus, Agnus Dei)– muz. Paul van Gulick

"My Way" – muz., sł. C. Francois, J.Revauxl; polskie słowa R.Dziwisz; aranżacja J. Gutowska-Kuźmicz

"Marsz Jubileuszowy" – muz. Paul van Gulick

"Moja Piosnka" – muz. J.Świder; sł. C.K.Norwid

"Sztandary Polskie na Kremlu" – muz. W. Lachman; sł.M.Romanowski

"Na bój, na bój" – muz. Ivan Zajc

"Serenada" – muz. Heinrich Marschner

"Kołysanka" – muz. Jan Maklakiewicz; sł. K.I.Gałczyński

"Pieśni Góralskie" – muz. Jan Pasierb Orland

"Echa z gór" – muz. Jan Pasierb Orland

"Krakowiak" – muz. Wacław Lachman

"Hasło" – muz. Felicjan Szopski

Solistami byli: Jurek (Sanctus); Krzyś (Pieśni Góralskie) i podkupieni, na czas wyjazdu, z CHUR-u

Kuba (Marsz Jubileuszowy, Krakowiak) i Paweł (Marsz Jubileuszowy)

Jak zwykle Krakowiak został odśpiewany przez nas w czapkach krakuskach.

Odbieramy wielkie brawa za wykonane utwory, a nasza satysfakcja jest tym większa, że "Missa Brevis" poszła w miarę dobrze. Oczywiście jak na nasze dotychczasowe z nią doświadczenia.

Kończymy hymnem "Gaude Mater Polonia", zapowiadany przez Jasia, który informuje, że należy go słuchać z pełnym szacunkiem, czyli na stojąco.

Sala wstaje, my śpiewamy. Jak zauważyli niektórzy z nas, na sali znaleźli się tacy słuchacze, którzy próbowali śpiewać go razem z nami.

Odczuwamy satysfakcję z naszego występu, bo poszło nieźle, a kościół był pełen ludzi. Szkoda tylko, że nie było na koncercie twórczyni "Cantate Domino" pani Anny. Również z powodów estetycznych.

Kończymy koncert.

Jesteśmy naprawdę zmęczeni. Dowodem nasz Alojzy, który w chwili małego niedomagania ratowany był kostkami cukru i wodą.

Koncert był długi i wyczerpujący, więc dla naszych najstarszych kolegów należą się ogromne brawa za wytrzymałość.

Brawo!

Po koncercie, na zapleczu kościoła uruchomiony jest bufet. Piwo, wino, zakąski. Pijemy z chęcią, bo płynów straciliśmy wiele.

W pomieszczeniach jest ciepło. Na zewnątrz, wieczór daje orzeźwienie. Dlatego dyskutujemy i tu, i tu.

Wśród gości rozpoznajemy brata Arnolda, który jest jednak bez brody, takiej jaką nosi nasz Arnold. Ale że są to bliźniacy, to nie ma żadnej wątpliwości.

Bardzo dla nas miłą niespodzianką, jest obecność na koncercie i teraz także już po nim, naszej znajomej Ani z Hilversum. Szwagierki Jasia JVC. Kilku z nas, niezależnie od siebie, komplementuje Anię mówiąc, zgodnie z prawdą, że wygląda coraz młodziej. To najlepszy dowód na to, że Ania na pewno odkryła formułę wiecznej młodości. Z pewnością pomogło jej w tym jej ciepło, urok osobisty i przepiękny uśmiech. Bo Ania uśmiecha się także oczami.

Robi się coraz później, zbliża się północ.

Odjeżdżamy wraz ze swymi gospodarzami, bo jutro wstajemy wcześnie rano, by na czas zdążyć do Bredy, na poranną mszę, gdzie będziemy śpiewać.

Dzień trzeci – niedziela 11.06.2017

Dzisiaj wstajemy między szóstą, a siódmą rano. Biorąc pod uwagę to, że szliśmy spać o pierwszej

lub drugiej w nocy, to dzisiejsza noc była wyjątkowa krótka.

Po śniadaniach u gospodarzy, zaopatrzeni również w przygotowany przez nich dla nas suchy prowiant, pakujemy bagaże i odwożeni jesteśmy przez nich do Bredy pod Kościół Mariacki. Tam zjawiamy się około ósmej godziny.

Żegnamy się z gospodarzami. Sami wchodzimy do kościoła. Bagaże zostawiamy na zapleczu kościoła w jednym z pomieszczeń.

Przyjeżdżamy już w garniturach, bo mieliśmy informację, że w kościele nie będzie się gdzie przebrać.

Kościół jest zbudowany z ciemnej, brunatnej cegły. Jego sylwetka jest przysadzista, ale pozwalało to stworzyć łuki wewnątrz kościoła, od posadzki po zwieńczenie.

Msza ma się rozpocząć o godzinie dziewiątej. My jesteśmy bardzo wyeksponowani, bo siedzimy przodem do wiernych, pomiędzy ołtarzem mszalnym i stałym ołtarzem w prezbiterium.

Siedzimy na podwyższeniu. Przed nami trochę poniżej, będziemy mieć księdza prowadzącego mszę. Przed nim kilkadziesiąt krzesel, ustawionych w podkowę, na których będą siedzieć dzieci przystępujące do Pierwszej Komunii Świętej. Dzieci z polskich rodzin.

Dalej ławki dla wiernych, w których w większości zasiądą, polskie rodziny.

Za ławkami stoliki, na których nasz Kanclerz Marek porządkował materiały informacyjne o nas (albumy, śpiewniki...)

Kościół jest bardzo duży. Na prawo od nas organy, przy których siedzi już Paul van Gulick.

To on będzie naszym organistą, w Mszy Lachmana.

Trochę czasu do rozpoczęcia mszy jest, dlatego Asia zaczyna z nami próbę.

Prześpiewujemy Mszę Lachmana. Przypominamy sobie "Si Iniquitates", które dopiero nam "wskakuje" na właściwie nutki, po kilkakrotnym zaśpiewaniu przez basy.

Zbliża się godzina dziewiąta. Na wierzy bije dzwon.

Zaczyna się msza. Na wejście śpiewamy:

"Gaude Mater Polonia" , a w czasie mszy:

"Kyrie" (Msza Waława Lachmana)

"Gloria" (Msza Waława Lachmana)

"Si iniquitates" (Simona Wesleya)

"Sanctus/Benedictus" (Msza Waława Lachmana)

"Agnus Dei" (Msza Waława Lachmana)

"Nieście chwałę mocarze" (psalm Mikołaja Gomółki)

"Siedząc po niskich brzegach" (psalm Mikołaja Gomółki)

"Do kraju tego" (muz. J.Świder. sł. C.K. Norwid)

Na zakończenie mszy, śpiewamy "Bogurodzicę".

Msza trwa ponad półtorej godziny, bo jest wiele ceremoniałów związanych z Pierwszą Komunią Świętą.

W ostatnich słowach, kończąc mszę, ksiądz składa nam podziękowania.

Potem jeszcze rytuał wspólnego zdjęcia dzieci. Są ustawiane przed ołtarzem tak, że stanowimy dla nich tło. Możemy mieć pewność, że tym samym w wielu domach w Bredzie, będzie można na zdjęciach rozpoznać chórzystów Agricoli. Przechodzimy do historii, stając się także pamiątkami z I-szej Komunii Świętej.

Po skończonej mszy podchodzi do nas proboszcz polskiej parafii w Bredzie, ten który prowadził mszę i wręcza nam kilkadziesiąt książek, wydanych z okazji obchodów uroczystości wyzwolenia Bredy. Trochę go zaskakujemy informacją, że my tam byliśmy i w uroczystościach uczestniczyliśmy. Żegnamy się, kurtuazyjnie wyrażając nadzieję, że kiedyś będziemy mogli jeszcze wspólnie pośpiewać.

Mimo, że mieliśmy informację, że nie będziemy mieli się gdzie przebrać, to wykorzystujemy pokój, gdzie złożyliśmy nasze bagaże i jak najszybciej wskakujemy w nasze cywilne ciuchy. Dzisiejszy dzień

jest bardzo gorący, więc robimy to z radością i ulgą.

Wychodząc z kościoła, z satysfakcją dostrzegamy, że nasze materiały reklamowe ze stolika pozniwały. Tam było także kilkadziesiąt Śpiewników, sponsorowanych przez pana Eugeniusza Batko, naszego nieocenionego przyjaciela i sponsora.

Oj będzie się w polskich domach w Bredzie śpiewało, oj będzie....

Mamy jeszcze zaplanowaną krótką wizytę w domu opieki Thebe de Ijpelaar, gdzie jesteśmy zaproszeni na kawę.

Idziemy tam z bagażami, bo to niedaleko od kościoła, a autobus tam po nas przyjedzie, gdy tylko dojedzie do Bredy, ze swego miejsca postoju.

Wewnątrz zajmujemy miejsca w znajdującej się na parterze kawiarni. Aby do niej się dostać, przechodzimy przez salę, która także jest kawiarnią, ale siedzi już w niej wielu holenderskich emerytów, którzy związali swe seniorskie lata z tym domem. Pomiędzy nimi kręcą się obsługujące ich kelnerki. Młode, zgrabne, ładne. Jest dla nas nadzieją, że nasze seniorskie lata też mogą być piękne, choć z pewnością z naszymi emeryturami, tu miejsca byśmy nie znaleźli. No ale za mniejszą cenę w Polsce znajdziemy miejsca, gdzie pięknych i zgrabnych kelnerek, w niewielkiej odległości od naszych oczu, nie zabraknie.

Jesteśmy częstowani kawą, a po chwili Paul van Gulick, roznosi na ogromnej tacy ciasta i czekoladki, również nas nimi częstując.

Piękną scenką jest gdy mały synek holenderskich gospodarzy Zibona zaczepia go i wymienia z nim "żółwika". Także z bratem Andrzejem, mały smyk nawiązuje kontakt przy klawiaturze stojącego tam pianina.

Gospodarze Zibona pozują wraz Zibim i Krzysiem do wspólnego zdjęcia.

Za chwilę kilka pożegnalnych mów. Nasze jeszcze "Ad multos" dla gospodarzy i dostajemy sygnał, że nasz autobus już się zbliża do nas i czas wychodzić. Co też robimy, wychodząc z klimatyzowanych pomieszczeń na upał.

Pakujemy się. Przed autobusem jeszcze pożegnania.

Żegnani serdecznie, odjeżdżamy.

Powrót

Wyjeżdżając spod Domu Spokojnej Starości, długo nie jedziemy, bo już po przejechaniu kilku ulic, objawia się nam supermarket Jumbo, w którym chcemy zrobić zakupy. Większość z nas ma różne zakupowe intencje, więc to całkiem dobre miejsce do ich spełnienia.

Nawet brat Andrzej, nie jest w stanie nas zniechęcić, mówiąc całkiem rozsądnie, że w wszystko to można kupić u nas w Krakowie. Nie słuchamy go.

Zakupy trwają około pięćdziesięciu minut. Z siatkami pełnymi różnych przysmaków ładujemy się z powrotem do autobusu. Miłośnicy Stroopwafli rozsmakowani w nich przez Jasia, który od czasu do czasu, podrzuca je do chóru, jak i miłośnicy belgijskich piw, rozsmakowani w nich już bez nadzwyczajnego udziału Jasia, mogą czuć się usatysfakcjonowani. Miłośnicy pieczywa, już takiej satysfakcji nie doznają, przynajmniej do czasu powrotu na naszą rodzinną ziemię.

Holenderskie pieczywo zdaje się być robione przy dużym udziale gliny, silikonu i gumy arabskiej. No, ale nie wszystko musi być doskonałe.

Jedziemy, spokojnie oglądając przez szybę tak gościnną dla nas Holandię, gdy po około godzinie spokój nagle zostaje przerwany wiadomością przekazaną przez Mirona. Najcenniejsza rzecz jaką miał, poza samym sobą oczywiście, czyli jego portfel zgubiła się podczas zakupów i być może cieszy teraz jakiegoś znalazcę. Robi się nerwowo, bo Miron wylicza co tam miał. Miał wszystko. Pieniądze, dokumenty, karty. Niemal cały autobus, włącza się do poszukiwań portfela. Szukamy pod siedzeniami, co nie jest łatwe, bo nie jesteśmy tacy gibcy jak, o sobie myślimy. Pojawiają się teorie, jak daleko pod siedzeniami taki portfel mógł się przesunąć podczas hamowania autobusu, jeśli by

tam był.

Namawiamy Mirona do szukania we własnych rzeczach, co też czyni, ale bez sukcesu. Chwytny się za własne bagaże, dopuszczając myśl o ewentualnej własnej kleptomanii i z natrętną myślą, że głupio by było, gdyby znaleźć portfel Mirona we własnych rzeczach. Bez rezultatu. Niestety i na szczęście.

Holandia już poza nami, a my wciąż szukając, jedziemy już od pewnego czasu po niemieckich autostradach. Ktoś rzuca ogólnie akceptowalny pomysł, by zadzwonić do sklepu. Szukamy telefonów do sklepu na sklepowych rachunkach. Chcemy dzwonić do Jasia, by to on mógł zadzwonić do sklepu, bo przecież jeszcze tam będzie. Jasiu nie jedzie z nami, bo w Holandii zostaje, ale teraz odwozi na lotnisko w Eindhoven Andrzeja Golfistę i Michała. To dobry pomysł i ostatni, by zaangażować w to Jasia. Nadzieja umiera ostatnia. Nie, nie jest to jednak ostatni pomysł. Któryś z kolegów, już z niewielką wiarą, namawia Mirona do kolejnego i rozpaczliwie ostatniego przeszukania swojego plecaka. Miron robi to niechętnie, ale patrzą na niego wszystkie oczy. Nawet można dostrzec zatroskane oczy kierowcy w lusterku wstecznym.

I nagle wybuch radości. W ręku Mirona tkwi piękny i żeby nie powiedzieć tłusty, portfel. Jeśli ktoś chciałby sportretować człowieka śmiejącego się całym sobą, ze swego szczęścia, to musiałby zrobić teraz zdjęcie Mironowi. Miron pokazuje wszystkim portfel. Jesteśmy szczęśliwi wraz z Mironem. Gdyby ta scena odgrywała się w barze, to z ust znalazcy usłyszelibyśmy: Kolejka dla wszystkich! I właściwie Miron taką rzecz deklaruje, bo prosi kierowców, że jak będzie gdzieś stacja benzynowa ze sklepem, niech tam zjadą, bo on chce podzielić się swym szczęściem z kolegami.

Stacji na razie nie ma, a Mironowi pięknie z odsieczą przychodzi nasz kanclerz Marek, niosąc na przód autobusu w wyciągniętej do góry dłoni, butelkę The Famous Grouse 0,7 l. Czyli słynną whiskey z czerwoną kuropatwą, po czym wręcza ją Mironowi. Miron i niektórzy koledzy mają obiekcje, czy można to zaliczyć w poczet rewanżu Mirona, ale większość stwierdza, że można. Szczęściu nie wolno dać czekać, więc po kolei próbujemy ten rarytas. Szczęśliwy Miron doświadczył na sobie dzisiaj nowopowstałego powiedzenia: Szukasz kasy w Holandii? Jedź do Niemiec, tam Twój portfel już na Ciebie czeka.

Jedziemy przez Niemcy. Zbliża się wieczór. Kierowcy chcąc umilić nam czas wyświetlają nam na monitorach filmy.

Pierwszy to "Obywatel" Jerzego Stuhra, drugi "Trzeci cud" Agnieszki Holland.

Jest już ciemno, ale tym razem jedziemy na spotkanie wschodu. Witamy go w Polsce, niedaleko przed Gliwcami.

Dojeżdżamy do Krakowa. Po drodze wysiadają kolejno Tomek, brat Paweł i Stasiu. Ten ostatni przepychając się z bagażem swoim i Michała, czym zapewne zasłuży sobie na jego wdzięczność. Około wpół do szóstej rano, meldujemy się przed naszym dworkiem.

Na zakończenie naszej wspólnej eskapady, osiągamy niezwykły poziom porozumienia. Nie musimy sobie dziękować, za wspólny pobyt wykorzystując nagłośnienie autobusu, tak jak to zwykle czyniliśmy, bo chyba rozumiemy się bez słów. Tak to zapewne osiągamy wyższy etap komunikacji. Może kiedyś nabędziemy jeszcze takich zdolności, by odebrać podany dźwięk, nie podając go, a potem zaśpiewamy, nie śpiewając.

Teraz czeka nas przerwa, może niedługa a może długa lub jeszcze dłuższa...

Choć jak sportowcom po dużym wysiłku jest niezbędny okres roztrenowania, podczas którego wciąż muszą lekko ćwiczyć, by nie mieć zakwasów, tak i nam taki czas pewnie by się przydał, po wysiłku związanym z jubileuszem i wyjazdem do Holandii. Taka przyjemność pomuzykowania przy miłych nam nutkach.

Dlatego nućmy sobie cokolwiek i gdziekolwiek. Choćby "gulicki". Byle tylko nie przy goleniu.